

ST. WYSPIAŃSKI — DZIEWCZYNKA

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

NR 6. LUTY 1932. ROK VIII.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VIII. KRAKÓW, LUTY 1932. NR. 6.



PRZED SCHRONISKIEM NA BARANIEJ GÓRCE.

M. TRACZEWSKA.

ZE ŚWIATA SPORTÓW ZIMOWYCH

Światło, ruch, powietrze. Sport. Hasła dnia dzisiejszego. Na wschód i zachód, na północ i południe – przez całą kulę ziemską przelatują wieści. Thunberg niezwyciężony w biegu na lodzie — chluba sportu skandynawskiego trenuje w swej ojczyźnie.

Najlepsza tenisistka świata Wills Moody szerzy sławę sportu amerykańskiego w Krainie Wschodzącego Słońca. Międzynarodowe zawody łyżwiarskie w St. Moritz. Hokey w Bostonie. Wieści te głośnem echem rozbrzmiewają wśród wszystkich narodów cywilizowanych — i w znacznej części zmaterjalizowanego i zmęczonego życiem współczesnem społeczeństwa dreszcz budzą. Przez chwilę zapomina się o zbrojeniach i konferencjach rozbrojeniowych, a nawet o kryzysie gospodarczym. Zawody. Walka o zwycięstwo. O tytuł mistrza świata. Ambicja nie jednostek już, lecz narodów. Żądza „sławy" imienia Ojczyzny.

Magiczne słowo: zawody olimpijskie. Tradycja

starożytnej Grecji, wznowiona na całej kuli ziemskiej, obejmująca w jak najszerszym zakresie zawody o mistrzostwo świata.

W tym roku terenem jest Ameryka. Zawody letnie odbędą się w Los Angelos. Zimowe w Lake Placid. Dni wielkiego boju 4 — 13 lutego.

Lake Placid — uroczy zakątek górski. Szczyty śnieżne — ciemno-zielona ściana lasów jodłowych — i dwa jeziora Mirror i Placid. Na tem tle dziwne domki, zupełnie pierwotne, takie, w jakich mieszkali pierwsi koloniści. Zaprzęgi psów jak na Alasce czy w Kanadzie. Narty — tak, narciarzy wielu, boć to był najszybszy sposób przebywania rozległych przestrzeni jeszcze przez Indjan pierwotnych stosowany, zanim wytępili ich cywilizowani przybysze ze wschodu.

Ale Lake Placid leży w Ameryce. Niedarmo nadaje się jako teren zawodów sportowych. Opodal domów starych — na tle dzikiego krajobrazu w szybkiem tempie XX wieku stanęły piękne wille i pensjonaty, nowoczesne hotele i wspaniałe magazyny. Jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej zjawił się olbrzymi sztuczny tor lodowy, tor bobsleighowy, skocznia narciarska, stadjon i urocza miejscowość dotąd w ciszy górskiej ukryta — stała się głośna, wszystkim znana. Do Lake Placid jadą zawodnicy z całej Ameryki. Do Lake Placid wyruszają reprezentacje państw europejskich.

A więc i polscy sportowcy. Hokeiści polscy — jako jedyni przedstawiciele hokeyu europejskiego. I narciarze Polacy — obok narciarzy jedenastu państw innych. Jadą, by zdobywać coraz lepsze miejsce swojej Ojczyźnie na arenie sportu światowego. Jadą ci, co reprezentują — zdrowie Polski, młodość, odwagę, siłę. Szczęść im Boże.

* * *

Ale sport — to nietylko tężyzna i zdrowie fizyczne. Sport — to piękno. Estetyka kształtu, ruchu. Doskonała harmonja ducha i ciała.

A czasem sport — to piękno prawie fantastyczne. Cudowna bajka. Fantazja, w której rzeczywistość zamiera, czy poprostu znika.

Popisy jazdy sztucznej na lodzie. Bój o mistrzostwo Europy w „Pałacu Sportowym" w Paryżu. Na tor padają przedziwne światła i blaski. Nastrój. Nagle ukazuje się jakby boginka z bajki zwinna i lekka w pomarańczowo-ognistej sukience, Francuska Claricetti. Jak zjawa wiodąca na lodzie dziwny swój taniec. A po niej — Włoszka Velpatto. Czarna, niezwykle smukła sylwetka prawie niesamowicie odcina się na tle tafli lodowej. Potem Angielka Dix w nastrojowych ewolucjach przy dźwiękach starej angielskiej melodji „I love you". I Austrjaczka Burger. I Szwedka Hulten. I uosobienie młodzieńczości i radości życia — piętnastoletnia Hilda Holovsky. I wreszcie prawie jej rówieśniczka — wirtuozka sztuki łyżwiarskiej — Norweżka Sonja Henje. Pełna wdzięku, „czarodziejka lodu". Najmłodsza z dostojnego grona mistrzów świata. Na widowni entuzjazm. Burza oklasków. W oczach tysięcy widzów najwyższy zachwyt...

Jak łatwo w obliczu piękna zapomnieć o dręczących troskach i kłopotach i przeżyć chwilę bodaj w świecie iluzji, by potem jaśniejszemi oczyma spojrzeć na szarą codzienność życia.



K R Y S I A

(Ciąg dalszy).

U Pana Boga za piecem.

Długo mozolili się z Krysią Kożusznik i jego dzieci, Haniczka i Maniek.

Haniczka była harcerką, to wiedziała, co czynić.

Z zakasanemi rękawami tarła i tarła zmarzniętym śniegiem chude ciałko Kryśki. Maniek donosił śnieg w koszu, a stary Kożusznik świecił i wciąż pogadywał.

Potem Krysia otworzyła oczy i zakwiliła, jak pisklę.

Radość spadła złotemi skrzydłami na dobrych ludzi.

Przestała biadolić Kożusznikowa, co zdyszana przybiegła z lekarzem, przestał pogadywać Kożusznik, zapatrzyły się dzieci. Co też powie lekarz? Co też powie?

Lekarz kiwie mądrą głową nad chudem ciałkiem Kryśki, kiwie głową nad jej oczyma, cmoka i krótką fajeczkę gryzie w zębach i patrzy. To popuka, to ucho przytknie do piersi, to przegub dłoni ujmie w swoją niedźwiedzią łapę i patrzy na zegarek, jak sroka w kość i coś mruczy.

— Więc co, panie dochtorku?... Co?... — nie wstrzymała życzliwej ciekawości stara Kożusznikowa.

— Hy... proszę... to będzie dobrze, proszę... — mamle zziębnięty lekarz. — i proszę... gdyby była dłużej na mrozie... proszę zmarzłaby na fest!... Na kość, proszę... Macie proszę izbę nieopaloną... Proszę, będzie dobrze...

Kożusznik wziął Kryśkę w ramiona i przeniósł do komory, gdzie było najchłodniej. Ułożył na sienniku, co go był Maniek przywlókł ze swojego łóżka.

— A teraz proszę — cedzi skąpo lekarz. — Teraz nacierać ją letnią wodą...

— Staro, a mosz letnią wode?... — krzyknął na żonę Kożusznik. — Pieronem letnią wodę!

Skoczyła Kożusznikowa do kuchni, pobiegła za nią Haniczka, przyniosły w garcu letnią wodę...

— Jak też dobrze... — radowała się Kożusznikowa — żech miała w kociołku pozostawioną wodę. Jeszcze jest letnio...

— To dobrze... To dobrze!.. — raduje się za nią lekarz i pyka z małej fajki, co mu się w czarnych zębach chwieje. — Teraz wy, proszę... jak się proszę nazywacie?...

— Kożusznikowa, pieknie proszę panie dochtór!.. Kożusznikowa!... A to są moje dziecka... A stary Kożusznik to jest mój chłop, pięknie proszę...

— No, dobrze, dobrze... — przytakuje lekarz i kopci z fajki, co się w czarnych zębach kołysze. — No, dobrze, proszę... To, wy Kożusznikowa, to wy, proszę, będziecie teraz nacierali tą kurzyczkę letnią wodą, a ty, proszę — tu zwrócił się do Haniczki — a ty, proszę... a coś ty jest, proszę, za dziewczyna?...

— Ja jestem, proszę pana doktora, córka, Haniczka Kożusznikówna, harcerka...

— Aha, harcerka... No dobrze proszę... To ty, harcerko, ty teraz ugotuj lipowego kwiatu, a kiedy się, proszę, ugotuje, to napar dasz pić tej małej zmarzłej kruszynie, proszę... A teraz już pójdę... proszę, a potem przenieście tę dziewczynkę do izby, proszę... a kto to jest? — i wskazał palcem na bladą Kryśkę, leżącą z zamkniętemi oczyma, jak umarła.

— Hale, pieknie proszę, panie dochtór — jął go objaśniać Kożusznik. — Tóż dziwiają się! Czy nie wiedzą? Dyć to jest ta sierotka od Moroniów... Już roz ją dzisiaj uratowołech od zmarznięcio... nie chwole się, ni!... — gdy wracała z lasu...

— No, dobrze! — przerwał mu lekarz. — Ja tu, jutro, proszę przyjdę koło godziny dziesiątej... proszę, to znaczy dzisiaj już... A wy, teraz idźcie, proszę. Kożusznikowa ją będzie sama nacierała letnią wodą... A porządnie...

Zdjął kożuch z gwoździa i jął się z nim mozolić. Przyskoczył Maniek, podtrzymał, pośpieszył ojciec, ubrać pomógł.

— No, dziękuję, dziękuję... a jutro, proszę... tu przyjdę. A z Bogiem!... — i wsadził czapkę na uszy.

— Pięknie proszę — odezwał się ojciec — a ile będę winien? Ile?... — i patrzał z niepokojem, co też lekarz powie.

— Hale! — mruknął lekarz. — Co mi będziecie winni?... To, proszę... potem! Gdy kiedyś umrę, to mi, proszę, ładnie zaśpiewacie!... — i uradowany z własnego dowcipu, roześmiał się szeroko i poszedł.

Powrócili wszyscy do Kryśki. Leżała blada, z zamkniętemi oczyma, nieznacznie dysząca. Jedną dłoń wysunęła z pod koca i teraz drobnemi palcami gmerała leniwie po nim.

Matka i Haniczka zakrzątały się żywo koło odratowanej kruszyny. Wszystko to czyniły, co lekarz nakazał. A kiedy wkońcu stary Kożusznik trzy razy przedzwonił na Jutrznię, a potem jął wraz z Mańkiem pomagać staremu proboszczowi w służbie bożej, matka i Haniczka wciąż siedziały przy łóżku Kryśki i śledziły niespokojnie jej szybki oddech.

— Mój Boże! — wzdychała raz po raz matka — żeby też Krysienka nie umrzyła!...

— Ale nie, nie!... — pocieszała ją Haniczka.

— Ja, dzieucho, co ty wiesz?... Jak tak człowiek przemarznie, to nie byłaby dziwota, żeby uświerknął. A tem bardziej takie drobne kurczątko, jak ta Krysia!... — i aż westchnęła z wielkiej żałości.

Haniczka starała się matce udowodnić, że jeżeli lekarz wyszedł uspokojony, to przecież nic nie zagraża życiu sierotki.

— Dej Boże, dej!... — westchnęła znowu matka. — Ale bo to też ludzie!... Maryjko święto!... Najpierw to to wyganiają do lasu na drzewo, a potem... to oni temu winni, że dziecko poleciało do kościoła... Ale wiesz, Haniczko, co mnie dziwi?

— Co, mamulko?

— Na, ten pies, Bosek!... Strasznie to mądry pies!... Mądrzejszy, jak człowiek. A nawet i litościwszy, niż ci Kryśczyni i jego gazdowie!... To tak na świecie, na świecie!... Pónbóczek nawet i temu mizernemu pieskowi dał rozum...

Po nabożeństwie wysypali się ludzie przed kościół. Wyszedł także kościelny Kożusznik. Ludzie otoczyli go kołem, a on jął szeroko rozprawiać o tem, jak znalazł Krysię w kościele. Gazdowie i kobiety słuchali, cudowali się ogromnie, aż w dłonie klaskali z podziwu nad zmyślnością Boska, zżymali się ciężko nad twardem sercem Moroniów, karę boską przepowiadali pospólnie dla nich, a kto z nich gorliwszy — nawet wieczne potępienie, amen.

A kiedy wreszcie z dwierzy kościelnych wyszli wystrachowani Moroniowie, z tłumu podniósł się niechętny szmer, który jął się stopniowo zamieniać w głośne szemranie, a wkońcu w gniewliwe okrzyki i pogróżki. Moroniowie wiedzieli już o tem, że Kryska znajduje się u kościelnego Kożusznika, bo doniosła im to Bajtkula, co nad ranem pobieżała na miasto w poszukiwaniu sierotki i po drodze spotkała się z wracającym lekarzem.

— No, co jest?... — nasrożył się Moroń, kiedy któryś z gazdów jął mu mocno pogadywać i ciskać w oczy twardemi słowy. — No, co jest?... A czy my winni temu, że dzieucha z domu uciekła?... Co?...

— Wyście winni!... — zerwały się krzyki. — Wyście winni!... Bo gdybyście się obchodzili po ludzku z sierotą, toby nie była uciekła... Pieniądze od

jej matki otrzymaliście!... Zatailiście je!... A sierotkę głodem trapiliście!... Wy sknery!... Wy złodzieje!... Wy tacy owacy!...

Podnosiły się coraz bardziej wzburzone głosy, podnosiły się już nawet i pięści, czynił się coraz większy hałas koło dźwierzy kościelnych, gdy znienacka ukazał się w nich stary proboszcz.

— Ale ludzie!... — zawołał zgorszony. — Cóż tu czynicie za harmider koło kościoła? Cóż się tu dzieje?...

Poleciały wołania i skargi do proboszcza, śpieszyły wielkim, rozzłoszczonym tłumem, przepychały się, dociskały, że starowina proboszcz nic nie mógł zrozumieć.

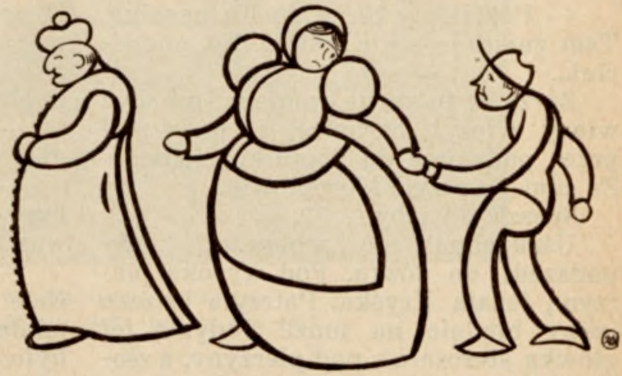
— Powoli, powoli!... Nie wszyscy naraz!... Bo nic nie rozumiem! — Poszukał oczyma, do kogo się zwrócić. — Wy mówcie, Starzyku...

— Cicho, baby! — huknął ostro na kobiety Starzyk — bo teraz ja mówię! — i jął przedkładać proboszczowi, jacy to źli ludzie ci Moroniowie, co oto stoją pod ścianą, a oczy wstydzą się podnieść, bo sumienie ich gryzie za tę krzywdę, co czynili sierotce Kryśce, i że Kryśka o maleńki włos byłaby zmarzła, ale że ich za to ręka boska nie minie i gorzeć będą w piekle i smażyć się w kotle pełnym smoły za to wszystko...

— No już dobrze, dobrze!... — przerwał mu proboszcz w połowie. — Już wszystko wiem. Rozejdźcie się do domów, a nie czyńcie tu zgorszenia przed kościołem. A wy, Moroniowie, chodźcie ze mną na plebanję!... — zwrócił się do skruszonych winowajców, zawrócił i poszedł. Moroniowie pobieżeli w dyrdy za nim, radzi, że w ten sposób unikną dalszych wygróżek ze strony oburzonych sąsiadów. Leciały jeszcze za nimi ciężkie słowa, pełne zgorszenia i złowieszczych przepowiedni, spadały na nich, jak bryły zmarzniętej ziemi, lecz oni nie zważali już na nic, tylko z podświadomą ulgą śpieszyli za proboszczem.

— Siadajcie!... — rzekł zimno proboszcz, kiedy znaleźli się na plebanji. — Mówcie, jak to było!...

Moroniowie jęli teraz opowiadać



naprzedbieżki. Bili się w piersi i zapewniali gorliwie, iż Kryśka miała się dobrze u nich, ba, nawet lepiej jakby się miała u rodzonej matki, że to wszystko złość ludzka czyni i rozpuszcza wieści, jakoby ją krzywdzili, woleliby, iżby im ręka uschła, aniżeliby ją mieli podnieść na Kryśkę, że się miała u nich jak pączek w maśle i wszystko.

Ksiądz proboszcz słuchał, kilka razy chciał przerwać, lecz Moroniowa posiadała jedną znamienną cechę: gdy się rozgadała nic nie potrafiło wstrzymać jej wymowy. Co ksiądz proboszcz usta otworzył i dłoń podniósł na znak, że on teraz zamierza mówić, Moroniowa przyśpieszała swoje trajkotanie, Moroń zaś tak mocno bił się w piersi na znak, iż to wszystko rzetelna prawda, co żona opowiada, że nie sposób było przyjść do słowa. Na szczęście ksiądz proboszcz wpadł na pomysł. Wyciągnął tabakierkę, zażył prędziuchno tabaki tęgi niuch i jak znienacka nie kichnął, jakby z moździerza strzeliło. Aż Moroniowej słowa zatknęło w ustach z przestrachu, a Moroń cofnął się pod okno.

— Wszystko dobrze, moi drodzy, co mówicie... — podjął teraz szybko

proboszcz — zapewniacie tak gorliwie o swojej niewinności, że człowiek gotów wam uwierzyć. Ale wiecie, co uczynimy?...

Co? co?... — podchwycili skwapliwie obydwaj.

— Pójdziemy teraz do Kożusznika. Tam znajduje się Kryśka... No, chodźcie!...

Zarzucił futro na ramiona, na siwe włosy włożył baranicę i podreptał przez podwórze do domu kościelnego. Za nim śpieszyli Moroniowie.

Weszli do izby.

Uśmiechnął się proboszcz, kiedy podszedł do łóżka. Pod wysoką pierzyną leżała Kryśka. Patrzyła jeszcze jakby błędnie na ludzi. Jedynie jej główka sterczała z pod pierzyny, a złotawa jej czuprynka rozsypała się na poduszce podrobionem złotem. Obok niej, tuż koło jej głowy, leżał duży, szary kot, Mruczek. Patrzał na dziewczynę, ruszał srogiemi wąsiskami, mruczał ogromnie z czegoś zadowolony i raz po raz lizał języczkiem jej piąstkę, co koło jego pyszczka spoczywała niemocna.

— Kryśko?... — odezwał się do dziewczyny proboszcz.

Podniosła Kryśka oczy na łagodną twarz proboszczową.

— Czy wiesz, kto ja jestem? — zapytał.

— Wiem... ksiądz proboszcz! — szepnęła dziewczyna i leciuchno się uśmiechnęła.

— To dobrze — pomyślał proboszcz. — Bo myślałem, że może mnie nie pozna, że będzie gorączkować.

— Kryśko... — rzekł znowu do niej. — A tych tu oto gazdów... poznajesz?...

Dziewczyna przechyliła główkę, przymrużyła trochę oczy, popatrzyła i zamroczyła się nieznacznie. Skinęła głową, że poznała.

— Teraz słuchajcie, moi mili — zwrócił się proboszcz do Moroniów. — Niech sama Kryśka powie... Powiedz mi, Kryśko, czy chciałabyś teraz wrócić do twoich gazdów? Do Moroniów?...

Wszyscy patrzyli ciekawie, co będzie. Kryśka, otoczona wieńcem schylonych nad sobą głów, chwilkę milczała. Jakby zapatrzyła się w siebie. Mruczek tylko przestał jej dłoń lizać, nasrożył się czegoś i jął bić ogonem ze złości. Teraz Kryśka jakoby zrozumiała pytanie proboszcza.

— Nie!... Nie!... — krzyknęła półgłosem i zakryła oczy dłońmi.

— Widzicie?... — rzekł zadowolony proboszcz. — Nie chce iść do was...

— Nale rybeczko moja złoto!... Nale dyć nie mów!... Czemubyś nie miała iść do nas!... Przecież dobrze ci było u nas... i dobrze ci bydzie!... Dyć pódź rybeczko!... — jęła wołać krzykliwie Moroniowa. Nachyliła się niżej i dłonie wyciągnęła, jakby ją chciała wziąć w ramiona. W tej samej chwili Mruczek wytrzeszczył zielone oczy w gaździnkę, nastroszył grzbiet, zadarł ogon w górę, otworzył drapieżną paszczękę i zasyczał groźnie, jak gęsior.

— Lo Krysta świętego!... — wrzasła przerażona Moroniowa. — Dyć psiowełna kocur człowieka chce użrać!... Cóż to za potwora!... — i cofnęła swoje dłonie.

Kożusznik parsknął śmiechem.

— Widzicie, dyć i kocur poznoł się na pocukrowanych słówkach!... Nic z tego nie bydzie! — rzekł mocno. — Kryśka teraz u nas zostanie i zbyte!... Prowda, księżoszku!...

— Co znaczy? — zerwała się oburzona Moroniowa.

— Cicho!... — krzyknął na nią Kożusznik. — Co mi tu bydziecie wrzeszczeć w chałupie? Dziwejmy się!... Jeszcze może ze strachu Kryśkę wrzód chycić, lebo co!... Jako ksiądz probosz powiedzą i sama Kryśka, tak bydzie!...

C. d. n.



ŻUBRY W LASACH PSZCZYŃSKICH
— Ze zbiorów Państw. Rady Ochrony Przyrody.

IGNIS.

UŚMIECH ŻYCIA

2) (ciąg dalszy).

— Salve reverentia! Lenko, już się miałam obrazić. Masz rację, kochanie, pokpiłam sprawę niemądrym wstępem.

A zatem prostuję: Małżeństwo Jaśnie wielmożnego Pana Zdzisława Rogalskiego, doktora filozofji i filologji, przezacnego łacinnika, przepraszam, profesora łaciny w naszem gimnazjum, z panną Anielą Smetańską, nauczycielką przyrody, również w naszem gimnazjum, — recytowała jednym tchem.

— Kapitalne, piramidalne głupstwo! — zawołały chórem, rozbawione ośmioklasistki.

— Niby z jakiego tytułu? w kwestji formalnej, reflektując spokojnie koleżanki, zauważyła Marutka, prześladowana od nich za nadużywanie tego zwrotu.

— Jakto! — Dotąd ósma klasa była niepodzielną władczynią serca naszego bohaterskiego Tyrteusza, co wyrywa z otchłani nieuctwo siłą genjalnej wymowy! nas — ośmioklasistki, przyszłe filary społeczeństwa! zagrzewa do czynu... w postaci... kucia na pamięć od Horacego! I nagle — grom niebezpieczna rywalka, w postaci... żony! To straszne, to śmiertelny cios dla mego serca! — wołała, słaniając się na krzesło.

— Wiesz, mam genjalny pomysł! — napisz to doskonałą łaciną w formie Epithalamium i poślij... z kondolencją! Wówczas matura na pewniaka — jakby w kieszeni! radziła trochę złośliwie Jasia.

— Boję się, jeszcze gotówby się rozwieść...

— Dziewczęta! — niecierpliwiła się z katedry Zosia, znów pleciecie bzdurstwa, a zostało tylko pięć minut czasu. — Nowina nr. 2 — Kółko krajoznawcze, chcąc uczcić nasze dostojne, udekorowane maturą osoby, proponuje zamiast szablonowego wieczorku z maturzystami, wycieczkę via Częstochowa, jako dziękczynną za maturę, następnie Kraków, Ojców, Zakopane. A wchodząc w tragizm położenia naszych pustek kieszeniowych w stosunku odwrotnym do pełności w głowach... proponuję pokryć niedobory kasy!

— Brawo! Bajecznie! Cudownie! W górę Zośkę za taką byczą nowinę! i kilkanaście par rąk wyciągnęło się

ku uśmiechniętej mówczyni, ale powstrzymał je energiczny gest dziewczynki, której twarzyczka oblekła się nagle w niebywałą powagę, a rysy wyrażały przygnębienie.

— Co się stało, Zośka? — Zbliżając się ku katedrze pytały dziewczynki zaniepokojone zmianą, zaszłą w wyrazie twarzy wesołej koleżanki.

— Słuchajcie, to, co teraz powiem należało mówić na początku, bo swą ważnością stoi na pierwszem miejscu, ale nie chciałam was martwić.

Wiecie, że nasza Pani Przełożona tej zimy chorowała poważnie na serce...

— Więc? z zapartym oddechem podchwyciły do głębi wstrząśnięte wzmianką o ukochanej Przewodniczcze.

Więc — musi wyjechać. — rzuciła wszystko dziewczyna, chcąc jaknajprędzej zrzucić z siebie ciężar długo pielęgnowanej tajemnicy. Doktorzy stanowczo zadecydowali wyjazd Pani Przełożonej.

— Jakto, zupełnie? nie wróci? nie będzie na maturze? — posypał się grad pytań, tylko Lenka milczała; z jej ust pobladłych, żaden dźwięk wyrwać się nie mógł.

Dziewczęta stały niezdecydowane, przygnębione, każda inaczej reagowała na tę smutną wiadomość, ale każda mocno i szczerze, bo Przełożona była ogólnie bardzo kochaną przez wszystkie uczenice, duże i małe. Umiała się zniżyć do każdej, a jej gorąca i młoda dusza, mimo lata dojrzałe, rozumiała młodzież doskonale.

— Brak Pani Przełożonej w czasie matury, to cios prawdziwy, wtrąciła nieśmiało Marutka. Kto nas będzie bronił i czuwał, aby która się nie obcięła? — Westchnęła cichutko; znając swe słabe zdolności, ufała, że Przełożona nie da jej zginąć przy maturze.

— Maruta egoistycznie to bierze! oburzyła się żywa i prawdomówna Zochna Swięcka; tu nie o jednostki chodzi, ale o całość. Brak Pani Przełożonej odczuje cała szkoła, bo pani Lemańska jest jej duszą, — dodała z zapałem. Lenka podniosła na nią oczy pełne wdzięczności.

— Ale powiem wam dalej, — ciągnęła Zosia, że Pani Przełożona jednak nie godzi się na tę decyzję doktorów i stawiając wyżej korzyści szkoły ponad swoje zdrowie — nie chce wyjechać.

Ach Boże, czy rzeczywiście? — wyrwało się z ust kilkunastu. W niejednym z tych okrzyków było impulsywne odczucie ulgi. Tylko Lenka milczała uparcie. Dopiero po dłuższej chwili, wewnętrznie opanowana i spokojna, zabrała głos, mówiąc bezdźwięcznie.

— Ja uważam, dziewczynki, że należałoby pójść do Pani Przełożonej i omówić sprawę jej wyjazdu. Jestem najmocniej przekonana, że głównie wzgląd na nas podtrzymuje ją od decyzji. Zna nasze serca, więc nie chce nas martwić swą nieobecnością na maturze.

— Jakto? — zawołała Zosia — ty to radzisz, ty? Tak ją kochasz i chcesz namawiać do wyjazdu? — w najwyższem zdumieniu pytała dziewczyna.

— Miłość powinna być ofiarną! odpowiedziała Lenka stanowczo.

Zosia patrzyła na nią długo, wreszcie nieznacznie wzruszyła ramionami. Jej trzeźwa i dość lekkomyślna natura nie dorastała do takich wyżyn bohaterstwa.

— Tak, tak, — przytakiwały dziewczynki, trzeba iść i rozmówić się koniecznie.

— Ale czy wiecie — zawołała nagle Henia, że to już dawno po dzwonku? Widocznie Rogal, przepraszam, pan profesor Rogalski, nie przyjdzie? — poprawiła się, zgromiona wymownem spojrzeniem Zosi. Może jest jaka narada, bo nawet Madame nie porwała wolnej godziny.

— Siadajmy w takim razie; do Pani Przełożonej iść teraz nie można, bo pewnie jest na jakiej sesji. Porozmawiajmy zatem może na temat miłości, bo to sprawa tak aktualna, — prosiła z przejęciem Marutka, a jej pełna, dzie-

cinna buzia miała w tej chwili tak komiczno-naiwny wyraz, że wszystkie dziewczynki, jak na komendę, wybuchnęły śmiechem mimo, że nastrój był zupełnie poważny, a nawet szczere przygnębienie malowało się na młodych twarzyczkach.

— Pulpet jest niezrównany z tą „aktualnością“ miłości! — wyrwała się zawodowa śmieszka, Irka Frąckiewicz.

— Czyś ty z księżyca spadła, że się nic nie orjentujesz i wyjeżdżasz z kwestją miłości! Nie wiesz, że to temat zakazany w szkole?

— Ech nie przesadzaj, Irka i nie mąć w głowie temu niewiniątku. O sancta simplicitas! — dodała z komicznym patosem Henia. Wcale tak nie jest. Pani Przełożona jest za rozumna, aby dawać podobne zakazy. Ona ma takie szerokie poglądy, że niczem się nie gorszy i nic nie potępia, broniła energicznie honoru szkoły.

Musisz jednak przyznać, że rozmowy prowadzone na temat miłości w klasie są conajmniej nieodpowiednie, dowodziła uparcie Irka, to ci zresztą najlepiej wyjaśni nasza wyrocznia w sprawach, co wypada, a co nie wypada, Lenka Mierzejska. Ona — to przecież specjalistka od takich spraw „delikatnej“ natury!

Lenka niechętnie podjęła zaczepkę.

— Dzisiejszy dzień chyba najmniej odpowiada poruszaniu tak poważnych kwestji. Nadto, sądzę, że będzie dosyć jeszcze czasu po zdaniu matury do zaprzątania sobie głowy podobnemi zagadnieniami, Marutko, - zwrócona bezpośrednio w stronę naiwnego dziewczątka odpowiedziała, przecinając chęć dalszej na ten temat dyskusji.

Szelest przyśpieszonych kroków przerwał rozmowy dziewcząt, drzwi się otworzyły i na progu stanęła Przełożona gimnazjum, pani Lemańska.

— Pani Przełożona! — zawołały radośnie uczenice, tłocząc się do rąk ukochanej Przewodniczki. Ale wbrew zwyczajowi pani Lemańska nie odpowiedziała uśmiechem, nie odwzajemniła pieszczotą objawów przywiązania wychowanek. Stała niezwykle poważna z troską na zmęczonej twarzy.

— Drogie dzieci, przyszłam oznajmić wam przykrą wiadomość. Może doszło już do was, że lekarze wysyłają mnie stanowczo na półroczną kurację nad południowe morze; jak wiecie, po ostatniej chorobie serce tak mi osłabło, że niezdolna jestem do pracy. Ale, dzieci drogie, zastanówcie się i odpowiedźcie mi z całą prostotą: jeżeli uważacie, że moja nieobecność w jakikolwiek sposób zaważy na waszej przyszłości, zwłaszcza w decydującej chwili składania egzaminów maturalnych, jeżeli moja osoba może wam pomóc, dodać otuchy, męstwa, to zostanę. Mnie tak bardzo ciężko was opuszczać!

Obejmowała wzrokiem Matki te jasne i ciemne główki ukochanej młodzieży. Najdłużej zatrzymały się jej oczy na zbladłej twarzyczce Lenki, po której z pod przymkniętych powiek spływały dwa strumienie łez.

— Lenko! — podeszła do dziewczynki i pochyliła się, mówiąc półszeptem: Lenko, tak okazujesz męstwo? Bądź silną! stać cię na to! tylko taką chcę cię mieć!

Napiszę wkrótce, dziecko, dodała, musnąwszy lekko ustami chylącą się do jej rąk jasną główkę.

— Tak mi będzie strasznie ciężko i... samotnie, wyjąkała Lena.

— Dobrze będzie! — zobaczysz, dziecko! Wrócę zdrowa i wtedy już się nie rozłączymy, mówiła, mocno ściskając dłoń dziewczęcia.

Drogie dzieci — zwróciła się Przełożona do zatroskanej gromadki. Jeżeli pozwolicie mi wyjechać, to da Bóg, za pół roku wrócę.

— Gdy my będziemy już po maturze i rozproszone w świecie, przerwały impulsywnie z dziecinnym wybuchem żalu dziewczęta, ale zgromione pełnym oburzenia wzrokiem Leny, zawstydzone umilkły.

— Tak — Pani jechać musi! — Odezwała się Lena, opanowując wzruszenie, a my zachowaniem swojem powinniśmy nie utrudniać jej tego zadania, ale raczej dopomóc.

Podniosła głowę ruchem zdecydowanym; w oczach, paliły się stalowe błyski.

Pani Lemańska spojrzała z wdzięcznością.

— Czy będę mogła zobaczyć się dziś jeszcze z ukochaną Panią? — zapytała cichutko, tuląc do ust jej rękę.

Naturalnie — potakująco kiwnęła głową Przełożona, przyjdź po południu, będę u siebie.

Rozejdźcie się, drogie dzieci, cichutko, obok są lekcje, was już zwalniam z ostatniej, bo zanadto jesteście przejęte, aby lekcja odbyła się z korzyścią.

Uśmiechnęła się z wyrozumiałością, patrząc na zasmucone twarzyczki uczenic, które tym razem przyjęły wiadomość o wolnej godzinie spokojnie, bez zwykłego w takim wypadku wybuchu radości.

Wyszły cicho, pojedynczo, tylko Lenka siłą przyzwyczajenia zatrzymała się, czekając na przyjaciółkę, robiącą porządek wśród porozrzucanych książek.

— Chodźmy już, Zochno, nagliła kręcącą się po klasie dziewczynkę.

— Wiesz, Lenka, tak mi wszystko z rąk wypada, że sama nie wiem co robię, — odezwała się niezwykle zamyślona Zosia, rozkładając bezmyślnie książki i zeszyty na pulpicie.

— Widzę to. Zamiast robić porządek, zrobiłaś nieporządek; poco te wszystkie książki zostawiłaś na pulpicie, przecież dzisiaj nie przyjdziesz już do szkoły? Czekaj, ja ci pomogę! — I paru zręcznemi ruchami pozbierała książki i zeszyty, układając je równiutko w szafce szkolnej, resztę włożyła starannie do teczki.

Już wszystko gotowe, chodźmy!

— Wiesz, — mówiła Zosia, czuję się teraz tak, jakbym wróciła z pogrzebu, jakbym cząstkę siebie tu w tych murach zostawiła...

Zosia Swięcka uważana była nietylko przez koleżanki swej klasy, ale nawet przez wszystkie uczenice, jako uosobienie wesołości. Tryskało z niej życie, a bujny temperament bardzo często unosił młodą zapalną naturę do krańcowości. Równoważyła to wszystko swym taktem Lena i dlatego przyjaciółki były zawsze nierozdzielne, wzajemnie się uzupełniały i dopełniały. I teraz Lena widząc niebywałą powagę i przygnębienie u koleżanki, zepchnęła na dno serca osobiste troski i niepokoje, byle ukochaną pocieszyć.

C. d. n.



POLSKA MISJA W RODEZJI PÓŁN. W AFRYCE

2. PREFEKTURA APOSTOLSKA BROKEN—HILL.

Rok 1927 stał się rokiem przełomowym dla apostolskiej pracy, polskich misjonarzy w Północnej Rodezji. Fakt utworzenia niezależnej Prefektury Apostolskiej Broken-Hill, na terenie objętym pracą polskich misjonarzy, wyodrębnił ostatecznie i zupełnie Polską Misję w Północnej Rodezji. W ten sposób uwieńczone zostały wysiłki polskich misjonarzy, a katolicy Polski zyskali »polską kolonję kościelną«, której losy i rozwój winny być ich ustawiczną troską.

Praca apostolska w Rodezji nie należy do łatwych zadań. Na obszarze Prefektury Apostolskiej Broken-Hill, obejmującym terytorjum większe niż obszar Rzeczypospolitej Polskiej, bo około 485 km^2 mieszka do 800 tysięcy murzynów. Ludność biała, która sięga cyfry 15 tysięcy Europejczyków jest niemal wyłącznie protestancką; za katolików uważa się bowiem około 500 osób. Centrum Misji tworzy rezydencja Prefekta Apostolskiego, O. Brunona Wolnika T. J. w Broken-Hill, niedaleko leży Mpima, dalej na południe Chikuni i Kasisi, na południowy wschód Katondwe i Kapoche, a na wschód od Broken-Hill — Chingombe.

Na tym terenie pracuje zaledwo 12 Księży-misjonarzy T. J. i 17 braci zakonnych. W Apostolskiej pracy pomagają zakonnice-misjonarki w liczbie 15, a to z trzech zgromadzeń: SS. Dominikanek, SS. Notre Dame de Namur i polskich SS. Służebniczek, które obecnie już w liczbie 10 zajmują się gospodarstwem i pomagają w nauczaniu, w stacjach misyjnych Chingombe i Kasisi. Praca ta jest nadzwyczaj ciężka, a warunki klimatyczne nieraz wprost zabójcze. Te stacje misyjne, które jak Chikuni, Kasisi, Broken-Hill, Mpima leżą na wysokości 4000 stóp nad pow. morza, mają klimat zdrowy, lecz praca w Chingombe, a specjalnie w Katondwe czy Kapoche tak jest wyczerpującą z powodu ciągłych upałów i dusznego powietrza, że nawet przy zachowywaniu ścisłej higjeny można tam zaledwie kilka lat wydatnie pracować. Wszędzie czyhają na życie misjonarza tropikalne choroby febra i groźna »ciufa«. Olbrzymiem też utrudnieniem w kontakcie z ludnością jest niebywałe rozbicie językowe tubylców. Plemiona, zamieszkujące Rodezję w liczbie 20 posługują się rozmaitemi narzeczami, które uniemożliwiają narazie przynajmniej ewangelizację w jednym języku. Silną również przeszkodą katolickiej pracy misyjnej są liczne sekty protestanckie,

które swą pracą misyjną wprowadzają obok szerzenia herezji, zamęt w głowie murzyna, niekiedy zaś nawet oczerniają przed nim religję katolicką i jej głosicieli. Sekt tych działa na terytorjum polskiej misji czternaście, prowadząc 468 szkół.

W tych warunkach murzyn staje bardzo często zdezorjentowany i mając do wyboru kilku apostołów, którzy wszyscy — jak zapewniają — głoszą mu prawdziwą wiarę, nie wie komu uwierzyć. Ale katolikom pomaga łaska nadprzyrodzona i często całe wioski, nawrócone przez protestanckich misjonarzy przechodzą radośnie na katolicyzm, któremu pozostają już wierne. Jeżeli do tego dodamy trudności, wynikające z zabobonów pogańskich wierzeń i praktyk religijnych, wrodzone murzynowi ospałość i lenistwo, oraz trudność podporządkowania się wymogom katolickiej etyki, to otrzymamy słaby zarys trudności, jakie przed misyjnym pracownikiem w Rodezji codzień się pojawiają. Mimo to, choć powoli — praca apostolska postępuje naprzód i wydaje coraz obfitsze rezultaty.

Na terenie Polskiej Misji w Rodezji znajduje się obecnie siedem kościołów, 106 wiejskich szkół, 6 szkół przeznaczonych dla Katechistów, niższe seminarjum nauczycielskie, internat i ambulatorjum. Do szkół wiejskich uczęszcza prawie 3.500 młodzieży, a w pracy nauczycielskiej pomaga misjonarzom i zakonnicom 68 katechistów. Liczba katolików w przeciągu lat 1927—1929 wzrosła z cyfry 5860 do 8320 a w samym roku 1929 udzielono chrztu św. 919 osobom. Mimo tego widocznego rozwoju i uznania, jakiem się cieszy działalność misjonarzy polskich wśród ludności tubylczej, ilość nawróconych wynosi zaledwie ponad jeden procent ogółu czarnej ludności. Toteż wiele jeszcze pracy i trudu czeka »żniwiarzy bożych«, którym pomoc — modlitwą i ofiarą — winni katolicy całej Polski.

Marja Pelczarowa.

Z CHARBINA

Gazety doniosły, że Charbin zajęty przez Japończyków, że walki były krwawe, że miasto bombardowano, że na ulicach tysiące zabitych i rannych... Ile jest prawdy w tych wieściach? — Co się dzieje z ludnością cywilną? — ze szkołami? — z misjami? — Nie wiemy i pewno się prędko nie dowiemy. Z Czytelnikami naszymi dzielimy się obecnie wiadomościami, wysłanemi w końcu grudnia, a otrzymanemi w styczniu, lecz zapóźno, by je umieścić w numerze poprzednim.

„Wielką miałyśmy pociechę — pisze M. Przełożona SS. Urszulanek — bo dzieci katolickie niemieckich uciekinierów z Rosji, które przez kilka miesięcy chodziły do nas na naukę religji, a niektóre już 18-letnie, wyspowiadały się po raz pierwszy w życiu i na Pasterce przystąpiły do Komunji św... Znowu namacalnie widziałyśmy, jak Pan Jezus czuwa nad duszami wiernemi Mu. Ci Niemcy uciekli z Rosji, żeby dzieciom wiarę ratować. Kiedy przybyli do Charbiua i rozejrzeli się trochę, przyszli do nas prosić o lekcje religji dla dzieci. Teraz mają niedługo wyjeżdżać do Meksyku, dzieci mniejwięcej przygotowane, ale tu żaden ksiądz dobrze językiem niemieckim nie włada, a także dzieci potrzebowałyby, żeby ich ktoś dobrze władający ich językiem wyspowiadał — i, proszę sobie wyobrazić, właśnie przypadkiem zjawił się jakiś ksiądz, Niemiec, z misji

tsi-tsikarskiej, który w celu leczenia się spędza kilka tygodni w Charbinie. Oczywiście zajął się dziećmi i na Boże Narodzenie nie tylko dzieci, ale i starsi pójdą do spowiedzi i Komunji św. W porozumieniu z ks. Proboszczem udzielamy im gościny w naszej kapliczce, a w pierwsze święto



Ksiądz Wikarjusz-Delegat Władysław Ostrowski, pierwszy Moderator nowopowstającej Sodalicji Marjańskiej w Chrbinie, w otoczeniu pierwszych aspirantek, Polek, uczennic liceum SS. Urszulanek.

popołudniu w klasie, przy choince, żeby mogli między sobą pokolędować".

O innej radości, to już i charbiński Tygodnik pisał. Oto co donosił:

„Doniosłe dla wychowania chwile święciło Liceum żeńskie SS. Urszulanek w Charbinie, przy ulicy Belgijskiej, w dniu 8 grudnia 1931 r.

Dnia tego na popołudniowem nabożeństwie w kapliczce zakładowej Najprzewielebniejszy Ks. Wikarjusz-Delegat, Władysław Ostrowski, położył pierwsze podwaliny Sodalicji Marjańskiej wychowanek zakładu. Jest to fakt nie małej wagi.

W Polsce w obecnej chwili, w czasach wielkiego zła na całym świecie, Sodalicja Marjańska osłania kraj armją potężnych duchów i wielkich charakterów swych Sodalisów, a to tak mężczyzn jak i kobiet. Sodalicja Marjańska i praca w niej to w pierwszym rzędzie urabianie siebie na wzorach bez skazy, wzorach jedynych: Jezusa Chrystusa i Matki Jego Niepokalanej, a urabianie, oparte na niezawodnych środkach, bo nadprzyrodzonych, — ażeby w rezultacie pójść mężnie w życie i na wszelkich społecznych stanowiskach wytrwać jak najszlachetniej.

To też spodziewamy się, że i naszym wychowankom, które drugi rok kształcą i wychowują się w naszem Liceum, opieka Matki Najświętszej zapewni wytrwanie w katolickich zasadach."

B O H A T E R K I

Siostry misjonarki wśród lodów polarnych

(przez O. Piotra Duchaussois O. M. N. Wydawnictwo OO. Oblatów M. N. w Poznaniu)

Nowa książka autora zaszczytnie odznaczonego nagrodą akademji francuskiej, a językowi polskiemu przyswojona.

Historja dziewięćdziesięciu prawie lat pracy bohaterskich córek Matki d'Yondille *), ze zgromadzenia Szarych Sióstr z Montrealu jest tak niepowszednia, że się od tych kart przedziwnie pisanych oderwać nie można. Kreśli je wielkie serce i wielki talent — miłośnika Boga i dusz Jego Krwią odkupionych — artysty, co na ekranie północy przesuwa obrazy całe w bieli i roziskrzeniu, w cieniach i trwodze włóczącej się na bezdrożach tej bezpłodnej ziemi spustoszenia — a mówi o „maluczkich", wartości odkupienia nieznających i o apostołkach miłości Chrystusowej, które przez wiek prawie cały, na każde wezwanie misyjne mówią: otom jest.

Ziemia polarna — kraina lutych mrozów i kurniaw śnieżnych, bystrzyn i portażów, gdzie śmierć czai się zawsze.

Winnipeg od Montrealu oddalony o 3200 km., które w 1844 r. przebyły siostry Szare w łódce z kory drzewnej.

Athabaska-Mackensie, Simpson, Akladik — ot nazwy geograficzne na mapie okolic podbiegunowych, a jakże one znaczenia pełne w dziejach misyjnych! Jako ziarnka różańca ofiar są — jak ołtarze całopalenia przebłagalnego.

Nad iglu**) eskimosów rozdzwonił się dzwonek gwiazdkowy, z ubożuchnej kapliczki zakonnej, gdzie płonącemi gałązkami rozgrzewać trzeba wino do konsekracji.

Do iglu dalekiego ciągną siostry sanki w psy zaprzęgnięte, aby zawieść leki chorym, a żywność głodnym, choć u nich od miesięcy całych nie ma już patatów, co chleb zastępują, ani nawet suszonych ryb, które są niemal wyłącznym ich pokarmem.

Klęski zamarzniętego połowu, co na rok ma starczyć, zatonięcia statku z Francji wiozącego zasiłki; liszki, które w godzin kilka niweczą pola z takim trudem uprawione; szarańcza, upadek zupełny zwierzostanu, choroby, pożary i to zimno potworne, okrutne, mordercze.

A jednak... ileż na tych kartach rozsypanych perełek jakiegoś cudnego dowcipu, który chyba i na aniołów ustach wywołuje uśmiech najsłodszy. I my się uśmiejemy — ludziki malutkie, wygodne, syte, ale od łez wilgotnieją nam oczy i chcielibyśmy kraj szaty całować tym pokornym apostołkom miłości Jezusowej, które nie znają granic wyrzeczenia swego, a są jako wesołe dawce, których Pan miłuje.

I żniwo ich wielkie, choć zboża nie mają — Siew ziarna pszenicznego, w dusze eskimosów rzucany ich kobiecemi dłońmi, wschodzi i kłosi się — i nie pożera go szarańcza szatańska.

Matka-Dziewica, Królowa i ozdoba ziemi i nieba, płaszczem swym okrywa i sierocińce siostrzane i dzikusów zaszytych w skóry i przytuliska dla chorych i nędznych i nawet serca ludożerców czyni miękkie jak wosk, a w ręce ich wkłada różańcową koronkę.

Na ziemię spustoszenia spływa błogosławieństwo prawdy...

W ciemnicy nocy jaśnieje światłość łaski...

Na bezdrożach śniegowych głuszy, objawiona jest droga żywota.

*) Proces beatyfikacyjny Matki d'Yondille jest w toku.

**) Domki tubylców ze śniegu.



Papież Misyj, Jego Świątobliwość Ojciec święty Pius XI obchodził dn. 6 lutego dziesięciolecie rządów na Stolicy Piotrowej. W całym świecie katolickim odprawiają się z tej okazji uroczyste nabożeństwa i akademje. Jako dar jubileuszowy sypią się składki na bezrobotnych i biednych. »Dziś i Jutro«, którego pierwsze numery Ojciec św. miał w ręku, Sam po polsku tytuł przeczytał, pracy tej pobłogosławił — łączy się z wyrazami hołdu i wdzięczności.



POPIELEC

Z LEKCJI NA ŚRODĘ POPIELCOWĄ:

To mówi Pan. Nawróćcie się do mnie ze wszystkiego serca waszego w poście i w płaczu i żalu. I rozdzierajcie serca wasze, a nie szaty wasze, a nawróćcie się do Pana Boga waszego: bo dobrotliwy i miłosierny jest, cierpliwy i mnogiego miłosierdzia, i łacny do ubłagania nad złością.

(Joël. 8.)

Z. ZAKRZEWSKA

MYŚLI NA CZASIE

Pogoda ducha i radość powinny być cechą młodości. Radosne usposobienie młodych winno być bronią do pokonania przygnębienia ludzkości. Każdy ma prawo do radości i każdy jej potrzebuje, ale nie wszyscy umiejętnie jej szukają. Szuka się jej czasem w źródłach płytkich i mętnych, a omija się głębokie, czyste i zdrowe. Aby utrzymać miły stosunek z ludźmi, gorliwie spełnić swoje obowiązki, być zdrowym fizycznie — trzeba utrzymywać się w usposobieniu radosnem.

Optymista zwycięża siebie i trudności życia tam, gdzie pesymista gnie się i upada.

Ludzie o wysokiej kulturze, o wyrobionym wzroku i słuchu na piękno przyrody posiadają największe zasoby radości.

U świętych podziwiamy dziwne połączenia życia umartwionego z radosnem. Dają oni dowód, że nie mniej cenią radość niż cierpienie.

Dzieło Odkupienia ludzkości mimo grozy cierpień Boga Człowieka ma dla duszy chrześcijańskiej urok radości, która płynie ze wzmożonej wdzięczności. W tragedji kalwaryjskiej jest ukryty szczytny objaw miłości Boga ku stworzeniu, a przeświadczenie, że się jest ukochanym przez Boga napełnia nas radością, pełną ufności. Göthe nazwał radość Matką cnót wszystkich.

Najpewniejszym sposobem zdobycia radości jest dawać radość innym. Wyjść z ciasnej skorupki swojego „ja" a oddać się ludzkości. Słusznie mówi Dr. Keppler „Radości, któremi innych darzymy, otrzymujemy z ich ręki napowrót, pomnożone i podwyższone w wartości".

Innym sposobem zdobycia radości jest docenianie małych radości, przyjmowanie wdzięcznem sercem okruszym radości rozsianych wśród nas kochającą ręka Boga.

Pragnących zapoznać się bliżej z zagadnieniem radości odsyłamy do dziełka głęboko ujmującego ten temat: dr. *Paweł Keppler*: „Więcej radości" (Warszawa, Warecka 10. Nakł. „Prądu").

Radzimy także zapoznać się z organizacją szerzącą radość wśród młodzieży to „Kółko radości" przy gimn. SS. Urszulanek we Lwowie, ul. św. Jacka 16. — Apostołki radości na życzenie udzielają piśmiennie informacyj o metodzie swej pracy.

CO WIEDZIEĆ WARTO?

Z Dalekiego Wschodu dochodzą wieści chaotyczne. Sytuacja w dalszym ciągu przedstawia się niejasno. Ambasador japoński urzęduje przy rządzie nankińskim. Reprezentant dyplomacji chińskiej składa cesarzowi Hirohita gratulacje z powodu ocalenia. Wojny między temi państwami oficjalnie nie ogłoszono. Japonja mówi tylko „o oczyszczaniu kraju z bandytów". Ale bandyci owi noszą mundury chińskie — wojska japońskie formalnie ścierają się z oddziałami chińskiemi — krew się leje od paru miesięcy. Japończycy zajęli już całą Mandżurję, dochodząc do t. zw. wielkiego Muru, stanowiącego właściwą granicę Chin. A dziwna logika ludzi Dalekiego Wschodu niczemu się nie dziwi.

W Genewie rozpoczęły się **obrady międzynarodowej Konferencji rozbrojeniowej.** Podniesiono projekt ustanowienia międzynarodowej armji, oddanej do rozporządzenia Ligi narodów, umiędzynarodowienia lotnictwa cywilnego, zakazu używania łodzi podwodnych, prowadzenia wojny gazowej bakterjologicznej.

Pakt o nieagresji, jaki Polska zawarła z Sowietami, ma być początkiem podobnych układów Rosji z Rumunją, Łotwą, Estonją i Finlandją.

Z obrad naszego sejmu największe zainteresowanie ogółu budzi kwestja ustalenia budżetu państwowego oraz ustawa o ustroju szkolnictwa. Według nowego projektu po dzisiejszej VI kl. gimn. ma następować egzamin uprawniający do objęcia posad zarobkowych tych z młodzieży, którzy nie mają zamiaru kształcić się wyżej. Dwie ostatnie klasy szkoły średniej mają tworzyć t. zw. liceum, przygotowujące w obranym kierunku do studjów wyższych na uniwersytecie, politechnice itp. Nowa ustawa podnosi też szkolnictwo zawodowe.

17 stycznia b. r. zmarł w Lipnicy Wielkiej na Orawie zasłużony patrjota polski **Piotr Borowy**. Zmarły należał do działaczy walczących o przyłączenie Orawy i Spisza do Polski. W czasie konferencji pokojowej w roku 1919 ś. p. Borowy pojechał do Paryża w towarzystwie ks. Machaya i Halczyna, by przedstawić sprawę Wilsonowi i w imieniu miejscowej ludności prosić go o zajęcie się tą kwestją. Gdy zaś sprawa granic została przesądzona i rodzinna jego wieś Rabczyce znalazła się pod zaborem czeskim, przeniósł się do Lipnicy Wielkiej, by móc żyć i pracować w Polsce.

Sport narciarski w Polsce rozwija się w szybkiem tempie i coraz liczniejszych zdobywa sobie zwolenników. Obok światowej sławy ośrodka narciarskiego w Zakopanem — narciarstwo pozyskuje sobie coraz to nowe tereny. Ostatnio dokonano poświęcenia i uroczystego otwarcia nowej skoczni na t. zw. Grzebieniu w Rabce.

Dzieje lotnictwa współczesnego również coraz częściej notują nazwiska polskie. W najbliższym czasie Polka Zuzanna Budny zamierza dokonać wielkiego lotu ponad Oceanem Atlantyckim na przestrzeni Milwaukee — Warszawa. Śmiała lotniczka lot ów postanowiła odbyć zupełnie bez lądowania, uzupełniając po drodze zapasy paliwa za pośrednictwem pilota, spuszczającego się przy pomocy spadochronu w N. Jorku i w Paryżu.

Kryzys gospodarczy, który zmusił ludzi do ograniczenia swoich wymagań życiowych do minimum, odbił się ogromnie na dochodach artystów, którzy coraz rzadziej znajdują nabywców na swoje dzieła. Ogólny brak pieniędzy jednak nasunął im szczęśliwą myśl. Oto w Berlinie już od paru tygodni związek artystów-plastyków wprowadził w swoich salonach wystawowych handel wymienny. W ostatnich czasach w Paryżu również pewna grupa artystów zorganizowała t. zw. „Salon des Echanges", w którym (za pośrednictwem dyrekcji salonu, wydającej odpowiednie kwity sprzedawcom i nabywcom) można kupić wartościowe dzieła sztuki za węgiel, żywność, ubranie lub też bon uprawniający do tygodniowego czy miesięcznego pobytu w jakiemś zdrojowisku. Wymowny znak czasu.

Według prowizorycznych obliczeń na podstawie ostatniego **spisu ludności** Rzeczpospolita Polska posiada 31,927.000 mieszkańców. W ciągu ostatnich 10 lat ludność Polski wzrosła o 4.000.000.

Na mocy rozporządzenia nowego łotewskiego ministra oświaty **przywrócono** w szkołach mieszanych **na Łotwie naukę języka polskiego** i wykład religji w języku polskim.

Dostałam go znów do rąk — jak co roku, spory tom opracowany nadzwyczaj starannie, wydany pięknie... I pomyślałam sobie, że tym razem nie napiszę ot, zwykłej, krótkiej recenzji — ale coś trochę więcej o tem cennem wydawnictwie — nie dlatego, by czytelnik, przejrzawszy me słowa, uznał, że już wie, co potrzeba, ale by go zmusić niejako do refleksji, zachęcić do czynnego zainteresowania się... Czynnego zainteresowania się — na czem polega ono u was, młodzieży szkolnej?

1) znać idee i postulaty Ochrony Przyrody;

2) śledzić prace odnośnych instytucyj, zwłaszcza na terenie Polski; a

3) ...to już wyniknie, jako konieczny skutek i następstwo pierwszego i drugiego: w miarę możności przyczyniać się samemu do chronienia przyrody ojczystej i ochronę tę propagować...



Ość i „tucznycia" do połowu głowacicy w Czeremoszu.
Ze zbiorów Państw. Rady Ochrony Przyrody.

Warto zajrzeć (Rocznik str. 199), czego wymaga Harcerstwo dla otrzymania stopnia „sprawności przyjaciela przyrody". (Uchwała z lipca 1930): Kandydatka wykaże się:

1) znajomością celów i środków ochrony przyrody. Wie, jakie są parki narodowe oraz najważniejsze rezerwaty i zabytki przyrody w Polsce.

2) wykaże się znajomością najmniej jednej książki ogólnej o ochronie przyrody i jednej, poświęconej specjalnemu jej działowi. (por. „Dziś i Jutro" r. 1931 Nr. VII).

3) zna i umie odróżnić następujące rośliny chronione i wie, gdzie je można spotkać: widłaki, cis, limba, przebiśnieg pospolity, śnieżyca wiosenna, lilja złotogłów, zawilce, sasanki, przylaszczka, miłek wiosenny, kokorycz, wawrzynek, wilcze łyko, storczykowate, goryczki, pachnące goździki, rosiczki, kotewka czyli orzech wodny, szarotka alpejska, szafran (krokus), mikołajek nadmorski.

4) Zna i umie odróżnić gatunki zwierząt chronionych, lub mających znaczenie gospodarskie (chronione: żółw, jaszczurka zielona, jeleń, niedźwiedź, bóbr, żubr, świstak, kozica, bocian czarny i biały, czapla siwa, pospolitsze ptaki drapieżne i sowy, motyle: paź królowej, apollo, żeglarek, oraz jelonek.

Dalsze punkta podaję w streszczeniu: przeciwdziałanie niszczeniu chronionych roślin i zwierząt oraz zabytków przyrody martwej, jak groty, cenne głazy; dokarmianie ptaków zimą, założenie skrzynek dla ptaków, prowadzenie samodzielnych obserwacyj przyrodniczych itp.

Czy nie wartoby i poza harcerstwem, w szkole ubiegać się o taki stopień — tak, jak się ubiega o odznaki ze sprawności fizycznej czy t. p.?

Pomyślmy, ile tysięcy młodzieży szkolnej posiada Polska — jak doniosłym czynnikiem dla zachowania zabytków przyrody ojczystej może być ta młodzież. Daremnie włożą swój trud w tworzenie rezerwatów i zachowanie flory i fauny ojcowie, jeśli dzieci zniszczą to, co oni chronili. A do tego, by zachować, by chronić — trzeba tę przyrodę znać — nietylko kochać ją jakimś sentymentalno-mglistym afektem podlotka, ale w miarę

rozwoju umysłowego, znać zasoby swej ojcowizny. A do tego prócz żywego słowa fachowców przyrodników, a nieraz i w braku tego żywego słowa, trzeba czytać rzeczy z tego zakresu i dlatego radzę szczerze i serdecznie każdemu czy każdej, by wzięła do ręki — jeśli nie dawne, to bodaj ten ostatni rocznik „Ochrony Przyrody", gdzie szereg artykułów nie „sucho" (i nudno) naukowych, ale naprawdę ciekawych i przeważnie najzupełniej dostępnych dla młodzieży szkolnej rzuca dużo, dużo wiadomości o pracy w Polsce i zagranicą na tem polu, o biologji niedźwiedzi i wydr, głowacicy (cenna ryba Czeremoszu) i bobrów, o najbardziej zagrożonych zagładą resztkach ciekawej flory jaru Dniestrowego, czy flory i skał nad Słuczą. A mieszczuchy, co to poziomek na drzewie szukają (fakt autentyczny!) niech zajrzą do artykułu: „Rezerwaty zieleni w rozbudowie naszych miast"...

No — już kończę, a kończę dlatego, żebyście wy na moich słowach nie „skończyli", ale od nich z a c z ę l i. *) *M. Chr.*

*) Nabycie rocznika dla poszczególnych jednostek może okazać się, ze względów finansowych, trudnem, gdyż Rocznik, pięknie i starannie wydany, dość bogato ilustrowany, z konieczności musi kosztować 10 zł., ale w takim razie może go nabyć czy to Koło Krajoznawcze, czy Przyrodnicze, czy wreszcie wogóle Bibljoteka szkoły. O ileby księgarnie nie miały na składzie, zwrócić się do Kasy Im. Mianowskiego — Warszawa, Nowy Świat 72.

WŚRÓD KSIĄŻEK

J. A. Fischer. **Pod żaglami** wyd. Gebethnera.

Każdy kto lubi morze, kto marzył kiedykolwiek o wycieczkach i podróżach po jego tajemniczych samotnościach, kto śnił o malowniczych fjordach norweskich i pełnej uroku Wenecji północy, z przyjemnością i zainteresowaniem czytać będzie niewielką książeczkę Fischera „Pod żaglami". P. Fischer wytrawny taternik i narciarz marzył o laurach żeglarza. Podróże wielkimi parowcami nie zaspakajały jego zamiłowania przygód i samodzielności. Chciał się poczuć kapitanem własnego okrętu, chciał sam badać morskie szlaki, wpatrując się w mapę gwiazd niebieskich i wysłuchując tajemniczej mowy morskich latarni. Na współkę z kilkoma przyjaciółmi kupił jacht żaglowy, naprzód małą Carmen, potem większego Juranda. Na tych jachtach w towarzystwie kilku znajomych i dwóch podrastających synów (załoga jachtu wynosi 5—7 osób) spędzał letnie wakacje, prując szare wody Bałtyku, zwiedzając szwedzkie i norweskie wybrzeża. Jazda na jachcie żaglowym to oczywiście nie to samo, co przejażdżka na wygodnie urządzonym parowcu; trzeba dniem i nocą zmieniać się przy sterze, trzeba manewrować żaglami, trzeba pilnie studjować kompas, trzeba także gotować obiady na prymusie, szorować garnki, często trzeba przepierać i suszyć garderobę, gdy zbyt zuchwała fala przewali się przez pokład, lub co gorsze, wedrze się do kabiny, i dobytek załogi przemieni się na chwilę w pływające wyspy. Czasem złamie się coś przy żaglowaniu, czasem ucieknie szalupa, czasem małowprawna ręka niezgrabnie zarzuci kotwicę i jacht siądzie na piasku przybrzeżnym, czasem mniej wytrawni marynarze ulegają pewnej przykrej chorobie i stają się przedmiotem wesołych żartów swych bardziej odpornych towarzyszy! Ależ jak suto opłacone te drobne przygody, jakżeż rozkosznie na pełnem morzu w cichą i krótką noc północną, jak swobodnie na swojej własnej łodzi, jak miękko kołysze żagiel, jak dumą serce rozpiera, gdy się wywiesza polską banderę w którymś z dalekich obcych portów.

Te wszystkie wesołe przygody i piękne krajobrazy opisuje p. Fischer z werwą i humorem. Jedna jest tylko trudność w czytaniu tej miłej książki: boję się, że rodzice i opiekunowie będą ją przed młodzieżą zamykać, bo chyba każdy młody po przeczytaniu jej będzie nudził o kupno żaglowego jachtu — a to przecież kryzys...

Pia Górska. **O Chełmońskim** wspomnienia. Wyd. Gebethnera.

Mało książek można polecić młodym i starym tak zupełnie bez zastrzeżeń, jak śliczną książkę Pii Górskiej o Chełmońskim. Autorka opowiada swoje wspomnienia o wielkim malarzu, którego dobrze znała, opowiada je z prostotą, żywością i humorem. A któż nie byłby ciekawy szczegółów o życiu

i osobie twórcy sławnej czwórki i kuropatw na śniegu, któż nie chciałby się zapoznać bliżej z malarzem, który jak żaden inny potrafił wydobyć poezję i sentyment polskiego krajobrazu? Miłośnik obrazów Chełmońskiego znajdzie w książce Pii Górskiej wiadomości, jak Chełmoński do malowania się zabierał, jak się odnosił do sztuki, jak odczuwał piękno; dowie się jak Chełmoński żył, jak się ubierał, jak rozmawiał. Zapozna się z wielkim artystą i z najmilszym oryginałem. Wzruszy się wielkością i prostotą tej niezwykłej duszy a często do łez się uśmieje z przezabawnych jego dziwactw. Bo rzadko w której książce można znaleść takie połączenie poezji i humoru, sentymentu i zmysłu komicznego, wzruszenia i śmiechu. Zresztą, o tej książce pełnej uroku niema co dłużej pisać: należy ona bowiem do rzędu tych, które trzeba koniecznie przeczytać, aby cały ich wdzięk i piękno ocenić.

Kazimierz Wybranowski. **Dziedzictwo.** Wyd. św. Wojciecha.

Aby uniknąć nieporozumień i zachować słuszną perspektywę w odniesieniu do książek, trzeba zaznaczyć odrazu, że „Dziedzictwo" Wybranowskiego do potomności napewno nie przejdzie i do dzieł sztuki zaliczone być nie może, jednakowoż jest to bezsprzecznie powieść interesująca, którą się czyta gładko i z zajęciem. Należy ona do rzędu powieści sensacyjnych, t. zn. pełna jest przygód i awantur niezwykłych i nieprawdopodobnych. Celem autora jednakowoż nie było wyłącznie wstrząsać nerwami czytelnika, jak to przeważnie czynią pisarze książek o niezdrowej kryminalistycznej, czy detektywistycznej treści. Przeciwnie, chciał on przedstawić potężną organizację masonów (którą w książce nazywa związkiem uczynnych grabarzy), ich knowania i zbrodnie i walkę, jaką wypowiada im bohater książki Zbigniew Twardowski. Każdy rozumny czytelnik, (bo „Dziedzictwo" nie jest bynajmniej książką dla dzieci i można ją polecić tylko dorastającym panienkom, maturzystkom, o sądzie już wyrobionym) każdy, powtarzam, myślący czytelnik potrafi odróżnić to, co jest tylko fantazją i mniej lub bardziej prawdopodobnym wątkiem powieściowym od głębszej myśli i refleksji autora, dotyczących masonów i ich organizacji, a także potrzeby pracy społecznej zorganizowanej i rozumnej, potrzeby wystrzegania się zgubnych wpływów, przedostających się nieraz do społeczeństwa ze źródeł na pozór niewidocznych. Dla tej zdrowej myśli przewodniej można więc książkę Wybranowskiego polecić jako lekturę rozrywkową i zajmującą, bo przecież czasami trzeba umysł oderwać od zagadnień poważnych i wypocząć wśród trudów nauki. A w takich chwilach, gdy jesteśmy rządni rozrywki, „Dziedzictwo" roztoczy przed nami swój barwny film przygód i intryg, film niepozbawiony i pewnej korzyści i głębszej myśli.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Odpowiedzi Redakcji.

VI klasie gimn. w Lublinie ślemy wyrazy współczucia z powodu śmierci miłej koleżanki. Przesłane wspomnienia umieścimy w numerze następnym.

Iri — za list i urywek z pamiętnika — dziękuję. Znać dużo uczucia i pewną łatwość wysłowienia, ale do opisywania podobnych halucynacyj trzeba o wiele więcej wyrobionego pióra. Radzę nie zaniedbywać zdolności, ale wprawiać się w opisywaniu tematów bardziej prostych. Zrobiłabym Ci krzywdę, drukując nadesłaną próbę, bo jestem pewna, że niedługo napiszesz coś bez porównania lepszego.

„Świadome metodyczne ćwiczenie w panowaniu nad sobą czyni duszę naszą wolną i silną".

„Rekolekcje... to kursa uniwersyteckie kultury duchowej".

„Widzialność Kościoła nie polega jedynie na widzialności jego pojedyńczych członków, lecz na widzialności ich zwartej jedności, czyli ich społeczności".

Prof. Adam: »Istota Katolicyzmu«.

NARTY

Oczy oślepłe rozpalone białością,
Upojone bezpamiętną, zawrotną szybkością
Pęd szalonego, warjackiego biegu...

Z pod nart tryskają białe pióropusze śniegu,
Kaskała pyłków tęczowo iskrząca
Jakby spadłe atomy rozbitego słońca,

Prędzej!... Do licha! — krzak jakiś wylazł na zakręcie,
U nart pędzących skupia się całe czucie, wszystka dusza,
Oszalały, wyjący wicher świszcze w uszach
Każdy fibr czuje najmniejsze nawet narty drgnięcie.

Droga wolna... dalej!

Od pędu śnieg się pod stopami pali
Uciekają wtył pola złociste od słońca...
Pędzić tak! pędzić przed siebie bez końca!

Hal. Łuczyńska.

Z WYCIECZKI NARCIARSKIEJ

Rankiem spadł śnieg. Duże, przejrzyste płatki, układające się w delikatne chrupiące pod nogą warstwy. Około godziny 11-tej wzeszło słońce, zatem projektowana wycieczka narciarska na Gubałówkę uda się. Wyjeżdżamy powolnie. Świat mieni się i szkli. Rozpoczyna się podchodzenie wolne, żmudne od strony Nowotarskiej.

Trzeba wbijać silnie kije, opierać się na rękach i wchodzić wolno. Rozgadane grono milknie, czasami tylko odezwie się pisk upadającej narciarki (narciarze nie krzyczą). Kurtuazja obowiązuje nie śmiać się z cudzego upadku. Jesteśmy pomęczone, ale wstyd się przyznać.

Przebywamy lasek. Śnieżna okiść spada, jak ciężkie czapki na głowy i ramiona. Gałęzie oblepione śniegiem prószą delikatnym pyłem, rozświetlonym promieniami słońca. Przed nami przestrzeń wolna, krzyż i schronisko. Uroki natury nie działają, zato szklanka gorącej herbaty zaprząta myśli. Realizujemy te marzenia i wracamy przez Kotylicę. Jedziemy grzbietem Gubałówki, podziwiając łańcuch Tatr z Gewontem na czele, otwierają się przed nami przestrzenie puste rzadko zarośnięte lasem. Zaczyna się zjazd. Narty suną cicho zostawiając równy, podwójny ślad. Specjalną przyjemnością jest stawianie pierwszego śladu. Jedziemy w słońce. Głowy do góry!

Pęd coraz szybszy, jeszcze chwila a uniesiemy się na skrzydłach wzwyż do słońca, naśladując okazowe loty. Po obu stronach nart wykwitają

białe pióropusze, pełne migocących iskier. Jest cudownie. Szybkość się zwiększa, natężam uwagę, ażeby zapanować nad biegiem nart. O kilkadziesiąt metrów wynurza się ścięty pniak. Pole puste, ni śladu przeszkody. Tylko ten pniak! Czuję, że gra on dla mych nart rolę magnesu. Idę wprost na niego. Naokoło pusto, tyle miejsca do zjazdu. Narty jadą uparcie na pniak! Próby zmiany kierunku z zachowaniem równowagi — na nic. Rezygnuję — i siadam na 5 metrów przed tajemniczą przeszkodą. Mój towarzysz, Antek, zakręca gwałtownie, zahamowuje i niknie w tumanie migocących złotych iskier. Za chwilę wynurza się ładna zarumieniona twarz. Słyszę, jak krzyczy z pełnem zadowoleniem i dumą „to była chrystjanja!" Bardzo mi przyjemnie myślę i ze złością patrzę na pniak. Skrzętnie otrzepuję śnieg z ubrania, żeby nie zdradzić mojej przygody. Jedziemy dalej, Antek popisuje się po drodze jakiemiś skokami, które dla mnie są zaprzeczeniem twierdzeń o równowadze ciał, znanych z fizyki. Wygląda jak djabełek w ciemnem, obcisłem ubraniu narciarskiem i budzi swemi ewolucjami serdeczną zazdrość. Zjazd do sanatorjum nauczycielskiego udaje się, zaczynam troszkę, odrobinkę panować nad deskami i cieszę się z tego powodu tak, że chce mi się krzyczeć z całych sił. Wylądowujemy szczęśliwie przed sanatorjum, gdzie czeka reszta towarzystwa. Potem skiöringiem za sankami do domu.

Z. Kolankowska VIII kl.

ODPOWIEDŹ „BABUNI"

Żyjemy w czasach, w których młodzież wciąga się w orbitę działań społecznych i żąda się od niej pełnej świadomości swych czynów. Równocześnie jednak wypowiada się zdanie o obniżeniu lotów, z tem, że London zastąpił Prusa i Żeromskiego. Nie chcę krytykować naszych Babek — chcę tylko choć trochę wytłumaczyć „nasze winy".

Nasze Babunie i ich Matki wychowywały się w atmosferze patrzenia na dalszą metę i nie myślały o tem „czy dostaną kiedyś posadę". Uczono je literatury, historji, języków i gry na fortepianie.

Bezsprzecznie, że i one należały do wielu dobroczynnych stowarzyszeń, prowadziły gorące dysputy o nieśmiertelności duszy, czy tragikach starożytnych. Wszystko to jednak traktowane było bez obawy przed dwóją i jej konsekwencjami. Ważniejsze były zasady kulinarnej sztuki od zasad Newtona. Dziś każda dziewczyna uczy się z tą świadomością, że od tej wiedzy zależy jej przyszłość, jej los. Przedpołudnie zajęte w szkole. Popołudniu odrabianie lekcyj na dzień następny. Przychodzi sobota — najmilszy dzień w całym tygodniu. Odrabia się na gwałt lekcje, bo o 4-tej kółko łacińskie, czy literackie, a koniecznie chce się zdążyć na 7-mą do kina. — Kino! Ileż Filipik godnych Demostenesa powstało przeciw X. Muzie. Demoralizuje, zakasywuje przybytek dzieł sztuki! Zapewne, że zbyt swobodne filmy nie są odpowiednie, ale ileż cudownych krajobrazów całej kuli ziemskiej, ileż wiadomości etnograficznych nabiera się przez dobry film. Dlaczego żądają od nas, abyśmy zachwycali się dziś już przeżytą sztuką o marnej obsadzie i marnej dekoracji — dajcie nam dobry teatr, wskrzeście nieśmiertelne dzieła Szekspira, czy Szyllera, a zobaczycie, że wypełnimy salę po brzegi. To samo jest z lekturą. Powiadają, że nie kochamy i nie rozumiemy Mickiewicza czy Wyspiańskiego. My ich rozumiemy i kochamy, tylko inaczej. Wam, drogie Babcie, nie wolno było czytać tych arcydzieł, bo byłyście w niewoli; my czytamy je w klasie, dyskutujemy i... dostajemy stopnie. Również jednak musi nas pociągać London, czy Konrad; z książek ich bije tyle siły żywotnej, tyle wiary, że dobro zwycięży. Ich bohaterki proste, silne muszą zachwycić każdą żądną rekordów sportowych i przygód dziewczynę. Obniżyły się nasze loty. Może i prawda?..

Wzrosłyśmy w zmaterjalizowanych czasach powojennych. Wydały nas inne czasy, więc jesteśmy inne, ale pod hałaśliwą i pozornie beztroską maską, kryjemy często myśli głębokie i górne.

Maruszka N. kl. VII gim.

P A Ź

Z starej serwantki, tam w salonie,
Gdy północ zegar bić przestanie
Książe, markizie czy baronie
Przychodzisz do mnie młody panie.
Jakeś jest pięknym, paziu mały!
Jasny frak postać twą opina
Odrzucasz z czoła loczek biały
I z wdziękiem kłaniasz się delfina,
Wyciągasz do mnie rączkę miękką,
Strojną w koronki i żaboty.
W wazonie białe róże więdną,
Bo mi zazdroszczą twej pieszczoty.
Potem tańczymy menueta
W takt przecudownej skądś muzyki,
Usta twe szepcą „poverretta“
„Jutro znów wrócisz do fizyki“
Wrócę, lecz kiedy noc nastanie
I w domu wszyscy będą spali,
Kiedy usłyszysz serca łkanie
Przyjdziesz znów do mnie, paziu mały!

Naturska, 7 kl.

JA EGZAMIN I KOT

Było to w przeddzień jednego z trudniejszych egzaminów. Byłem wtedy na trzecim roku prawa. Czas miałem wyliczony co do sekundy. Tymczasem niespodziewanie przyszła moja ciotka. Miała oczy zapłakane, twarz wzburzoną. W ręku trzymała koszyczek.

— Zdziwisz się zapewne, mój kochany — zaczęła — że się zwracam do ciebie z taką sprawą, ale jestem w sytuacji tego rodzaju, że nie mam innego wyjścia, tylko prosić ciebie o pomoc. Przed chwilą otrzymałam list od brata: jest ciężko chory i prosi, abym natychmiast przyjeżdżała. Oczywiście jechać muszę najbliższym pociągiem, tylko, że... — tu ciotka zatrzymała się jakby dla nabrania odwagi i wreszcie wyrzuciła ze siebie szybko:

— Bolku! Proszę cię, zaopiekuj się przez ten czas Honoratą! Jesteś jedynym człowiekiem, do którego mogę mieć zaufanie. Biedactwo absolutnie nie może zostać samo w tem wielkiem pustem mieszkaniu.

Zdrętwiałem. Trudno było wymyślić coś gorszego, jak kazać mi się opiekować jakąś damą w okresie kiedy miałem tyle roboty, byłem przemęczony i zdenerwowany; zastanawiając się nad tem, kim może być ta nieznana, wymagająca opieki osoba, zapytałem:

— A gdzież znajduje się ta...

Ciotka przerwała mi radośnie:

— Tu, w koszyku. Przyniosłam ją odrazu, wiedząc, że nie zawiodę się na tobie, że nie odmówisz mi tej przysługi... — zaczęła mi dziękować i żegnać się; nim się zorjentowałem już jej nie było w pokoju.

Z koszyka doleciało mnie delikatne miauknięcie. Odetchnąłem — a więc to kot!... Zacząłem się śmiać z moich przypuszczeń i zabrałem się do rozpakowania koszyka. Po otworzeniu wieka ukazała się wśród chustek i poduszek ruda i wąsata głowa Honoraty. Zanurzyłem rękę między szmatki i ująłem kota „pod paszki“ chcąc go wyciągnąć, musiałem to jednak zrobić niezbyt zgrabnie, gdyż usłyszałem przeraźliwe miauknięcie, poczem kot drapnął mię, jednem odprężeniem mięśni wyrwał się z moich dłoni i skoczył na ziemię. Znalazłszy się na „stałym gruncie“ przyjął pozycję obronną, wyginając grzbiet w pałąk i najeżając się groźnie. Był to rudy angor, wyjątkowo piękny i duży z ogromnemi oczyma koloru, jaki miewają tylko rasowe angory. Oczy te — okrągłe tarczki koloru akwamaryny, przecięte dwoma pionowemi kreskami źrenic były spokojne i miały w sobie dużo skupionej powagi i jakgdyby martwoty. Miałem ochotę mu się lepiej przyjrzeć, jednak skrypta leżące na stole przypomniały mi o smutnej konieczności. Zabrałem się do roboty. Kot tymcza-

sem rozpoczął wędrówkę po pokoju jakgdyby chcąc się zapoznać z nowem otoczeniem. Po pewnym czasie wskoczył na kanapkę stojącą tuż przed moim stołem, przy którym siedziałem. Zagłębiony w pracy, raczej mimowoli odczuwałem niż świadomie obserwowałem jego ruchy; teraz, gdy ułożył się tuż naprzeciw mnie, byłem zmuszony nań spojrzeć. Oderwałem wzrok od skryptów.

Kot patrzył na mnie. Patrzył spokojnie, bez drgnięcia powiek i nie odwrócił oczu pomimo, że spotkały się one z mojemi. Zdziwiłem się. Nie spotkałem jeszcze zwierzęcia, któreby tak długo mogło patrzeć człowiekowi w oczy. Po kilkunastu sekundach, w czasie których patrzyliśmy na siebie on z niezachwianym spokojem, ja z coraz bardziej rosnącem zdumieniem przypomniałem sobie, że nie wolno mi tracić czasu i oderwałem wzrok od kota, usiłując ująć w karby rozproszoną uwagę. Ciekawość walczyła u mnie z poczuciem, że nie wolno mi marnować drogiego czasu. Po chwili takiej walki zwyciężyła ciekawość. Podniosłem oczy... Patrzał. Teraz do uczucia zdziwienia przyłączyło się uczucie lekkiego zdenerwowania i niepokoju. „Co u licha myśli sobie to kocisko? — ma zamiar mnie chyba zahypnotyzować!„

Czułem, że jeśli kot nie przestanie mię obserwować, nie będę w stanie się uczyć. Tymczasem ruda i wąsata Honorata nie okazywała najmniejszej chęci w kierunku zrobienia mi tej przyjemności i przeniesienia spojrzeń swoich pięknych oczu do innego punktu. Obserwowała mię w skupieniu; na jej pyszczku widać było natężenie i uwagę. „Przestań się patrzyć na to zwierzę — jutro na egzaminie nie powiesz profesorowi, że nie mogłeś się nauczyć, bo kot cię obserwował" — tłomaczyłem sobie nie mogąc jednak zmusić się do odwrócenia wzroku. Wreszcie w pewnym momencie kot przymknął oczy — za sekundę wprawdzie je znów otworzył, ale ta sekunda wystarczała mi do opanowania się i spuszczenia oczu. Moje szanse utrzymania uwagi na skryptach spadły do minimum. Czułem, że kot na mnie patrzy, choć nie podnosiłem wzroku. Spojrzenie jego wkręcało mi się pod powieki, przenikało do mózgu i wciskało się pomiędzy pomięszane formułki prawne, jakiemi miałem przepełnioną głowę, czyniąc w nich zamięszanie i chaos, pozwalając mi myśleć. Wyrazy skakały mi przed oczyma, nie mogłem zrozumieć co czytam. Powiedziałem sobie, że nie wolno mi na kota patrzeć, mam się uczyć. W chwilę potem nasze oczy znowu się spotkały. *(D. c. n.)*



Ze zbiorów Państw. Rady Ochrony Przyrody.

W roku bieżącym powstała w Polsce Stacja Badania Wędrówek Ptaków. Osoby kompetentne obrączkują (zakładają aluminjowe obrączki na nogę) różne ptaki — po złapaniu, zabiciu, znalezieniu czy t. p. Takiego ptaka trzeba odesłać obrączkę z notatką, gdzie i kiedy ptak odnaleziony, pod adresem Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie (Krakowskie Przedmieście 26/28) — z notatek takich wysnuwa się następnie bardzo ciekawe wnioski.

TREŚĆ Nru 6:

WARUNKI PRENUMERATY:
Prenumerata roczna = 8 zł.
Cena numeru pojedynczego 80 gr.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.
Konto P. K. O. Nr 404.930.
Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.